

Orzeł nie może

16 listopada 2014

Badania pokazują, że emigracja jest korzystna dla brytyjskiej gospodarki, ale suche liczby nie wystarczą, żeby przekonać sceptyczną opinię publiczną do weryfikacji poglądów opartych na negatywnych emocjach. Opiniotwórcze ośrodki na Wyspach są bezradne.

Kolejny tydzień przyniósł kolejne głosy w toczącym się niemal bez przerwy dyskursie na temat emigracji. Po kilku tygodniach przerwy na doniesienia o Państwie Irackim i Eboli polityka migracyjna znów jest w centrum uwagi. I wszystko wskazuje na to, że pozostanie tam aż do przyszłorocznych wyborów, jedynie od czasu do czasu ustępując miejsca innym gorącym wiadomościom. Nie ma się czemu dziwić. Po latach względnego milczenia w tej kwestii, unikania tematu przez brytyjskie elity i kluczenia fala społecznej frustracji wylała się z całą siłą, porywając ze sobą urzędników, badaczy, polityków i dziennikarzy. Ten nurt jest dziś tak potężny, że jakakolwiek próba budowania tam, zapór czy ujść mających ochronić przed falą społecznego gniewu jest skazana na porażkę. Milczenie w tej sprawie, brak propozycji i rozwiązań, które ograniczą napływ nowych emigrantów, w panującym obecnie społeczno-medialnym klimacie oznaczają polityczne samobójstwo. Zarówno dla torysów, jak i dla laburzystów.

Dlatego też partyjni liderzy z obu stron politycznego sporu robią wszystko, żeby przekonać wyborców, że mają plan i sposób, aby powstrzymać nowych chętnych do osiedlenia się na Wyspach. I jak najmocniej uprzykrzyć życie tym, którzy już tutaj są. Debata w Wielkiej Brytanii na temat emigracji toczy się w informacyjnym chaosie wspieranym przez absurdalne, nierealne propozycje rządu i groteskowe podrygi opozycji. Głównie UKIP, ale również i Partii Pracy. Realne niepokoje społeczne dają pożywkę cynicznym mediom i politykom, kreując toksyczne perpetuum mobile. Media straszą ludzi emigrantami,

ludzie straszą polityczne elity populistami, elity straszą emigrantów rygorystycznym prawodawstwem, Unia Europejska straszy Wielką Brytanię karami. W tym całym antyemigracyjnym zgiełku nikt nie słucha racjonalnych głosów i opinii od czasu do czasu dobiegających z ośrodków naukowych. Ze swoją narracją nie są w stanie przebić się także sami emigranci. Nie potrafimy nawet zaistnieć na medialnych i politycznych obrzeżach debaty. Polski orzeł chce, musi, ale nie może wpłynąć na społeczną percepcję, zaś stroszenie piór i dziobanie innych migrantów jest nieskuteczne, moralnie wątpliwe i w dłuższej perspektywie szkodliwe.

STATYSTYKĄ W EMOCJONALNY MUR

Brytyjskie społeczeństwo ma poczucie osaczenia. Przez „innego”, który zabiera pracę, świadczenia socjalne i dobrobyt. Nie ma znaczenia, że – jak pokazały opublikowane w zeszłym tygodniu wyniki badań University College London (UCL) – imigranci z krajów UE zapłacili w latach 2001 – 2011 w podatkach o 20 mld funtów więcej, niż otrzymali w świadczeniach od Wielkiej Brytanii. Że emigracja jest korzystna dla brytyjskiej gospodarki. Że kreuje, a nie niszczy nowe miejsca pracy. Że w praktyce redukuje deficyt.

Emocje są silniejsze niż fakty. Gdyby statystyki i naukowe opracowania znacząco wpływały na polityczną rzeczywistość, brytyjskie społeczeństwo byłoby wściekłe na wielki biznes, unikający płacenia podatków i żerujący na taniej sile roboczej, a nie chociażby na ludzi oszukujących system i bezprawnie pobierających świadczenia socjalne. Stanowią oni w końcu zaledwie 0,7 proc. zasiłkobiorców. Inaczej mówiąc – na 300 osób korzystających z pomocy państwa tylko 2 oszukują system. Mimo to uwaga i niechęć społeczna skupiają się na bezrobotnej kobiecie, która za wyłudzone bezprawnie zasiłki kupuje sobie alkohol, zaś dzieciom drogie tablety, a nie na rekinach biznesu dokonujących księgowej inżynierii pozwalającej im unikać urzędu skarbowego. Mimo że to oni stanowią znacznie większe obciążenie dla budżetu. A jednak w

społecznym odbiorze fakty zostają zniekształcone i tworzą zupełnie inny obraz rzeczywistości. Statystyka zawsze przegra z tzw. argumentem anegdotycznym. W końcu większość z nas wiedzę czerpie nie z naukowych opracowań ani nawet ich medialnych streszczeń, a z obserwacji otaczającej nas rzeczywistości. Skażonej błędem próby, wyznawaną ideologią, osobistym doświadczeniem, opiniami znajomych i subiektywnym spojrzeniem. Nie jesteśmy myślącymi maszynami, które bezbłędnie absorbują dostępne informacje, skrupulatnie kalkulują i na podstawie otrzymanych wyników wyciągają logiczne wnioski. Gdyby tak było, mielibyśmy zupełnie inne opinie na temat bezrobotnych, ciężarnych nastolatek, islamu, zmian klimatycznych, globalizacji, systemu podatkowego, polityki. Praktycznie w każdej możliwej kwestii. Doskonale zdają sobie z tego sprawę elity. Wiedzą, że komunikaty polityczne, żeby były skuteczne, muszą opierać się na jakiejś moralnej podstawie. Wyrastać ze zrozumiałego dla przeciętnego człowieka emocjonalnego rdzenia. Mistrzami w tym są konserwatyści.

Nie tylko brytyjscy. Również republikanie w USA znaleźli środek na przekonywanie do swoich propozycji także tych, dla których zwycięstwo prawicy oznacza pogorszenie poziomu życia. Dlatego też ludzie często irracjonalnie głosują przeciwko własnym klasowym interesom, co z kolei najlepiej można zaobserwować w Polsce właściwie od początku lat 90. W końcu masowe poparcie partii neoliberalnych działających w interesie mieszczaństwa i biznesu w kraju zdominowanym przez klasę robotniczą i chłopską wydaje się społecznym i wyborczym nieporozumieniem. A jednak było możliwe. Dzięki ogólnej narracji, która zdominowała w naszym kraju dyskurs. Ten sam mechanizm można zaobserwować na Wyspach w kwestii emigracji. Opowieść wyrastająca z anegdotycznej argumentacji odrzuca jakikolwiek racjonalizm. I za bardzo nie wiadomo, jak to zmienić.

POLONIJNA BEZRADNOŚĆ

Dla polonijnych ośrodków opiniotwórczych nadchodzące miesiące zdominowane przez kampanię wyborczą będą chwilą próby. Jak dotąd żadnemu przedstawicielowi polonijnych elit nie udało się nawet w minimalnym stopniu zaistnieć w brytyjskim dyskursie. Już kilka miesięcy temu w tekście „Milczenie orłów” pisałem, że „polonijne środowisko w Wielkiej Brytanii, chociaż liczne, młode, dobrze wykształcone i podobno energiczne, kompletnie nie uczestniczy w brytyjskiej debacie publicznej. (...) tutaj spotyka się młoda i stara emigracja. Bez względu na metryki, poglądy polityczne, doświadczenie i emigracyjny staż łączy nas powszechna ignorancja i brak jakiegokolwiek wpływu na główny nurt brytyjskich mediów”. Temat pociągnął jeszcze Wiktor Moszczyński w „Dzienniku Polskim” i na tym właściwie się skończyło. Nie powstało żadne polonijne lobby, żaden ośrodek mający medialną siłę przebicia, żadna organizacja, która byłaby w stanie zaistnieć w brytyjskim dyskursie publicznym. Po krótkiej chwili wyborczego wzmożenia spowodowanego wyborami do Parlamentu Europejskiego znów pogrążyliśmy się w społeczno-politycznej apatii. Nie najlepiej wygląda też argumentacja, jakiej chwytamy się w rzadkich chwilach przebudzenia. Nasza narracja jest bowiem ekskluzywna, a nie inkluzywna. Wywyższanie siebie poprzez deprecjonowanie innych wydaje się naszym jedynym sposobem na walkę z antyemigracyjnym dyskursem na Wyspach.

Wyliczamy, ile oddajemy budżetowi w podatkach, chełpimy się swoim wykształceniem, statystycznie niskim wiekiem, małą zależnością od pomocy socjalnej i wysokim poziomem zatrudnienia, jednocześnie zwracając uwagę na niedoskonałości innych. Kreujemy się na emigracyjnego prymusa, zarazem oskarżycielskim palcem wskazując tych, którzy nie są aż tak pracowici. Podbudowuje to nasze ego, ale problem w tym, że tym samym współtworzymy narrację torysów, UKIP i konserwatywnych mediów, którzy winą za spadek poziomu życia w Wielkiej Brytanii w zależności od medialnej koniunktury obarczają nie tylko emigrantów z UE, ale też przybyszów spoza wspólnoty, bezrobotnych i leniwych Brytyjczyków. Uczestnicząc w tej

nagonce, wspieramy polityczne mechanizmy oddające władzę w ręce przedstawicieli ugrupowań pokroju UKIP. Populizm jest najczęściej nie skutkiem, ale odpowiedzią na rewindykacyjne dążenie klasy pracowniczej i najniżej usytuowanych warstw społecznych. Jediną szansą na nasze polityczne upodmiotowienie na Wyspach wydaje się więc nie tylko odnalezienie w sobie pokładów energii i chęci do działania, ale także zrozumienie i zaakceptowanie pozycji, jaką zajmujemy na drabinie społecznej w Wielkiej Brytanii. Musimy przekonać siebie, innych emigrantów oraz brytyjską klasę robotniczą, że jedziemy na tym samym wózku.

Autor: Radosław Zapałowski

Źródło: [eLondyn](#)